

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

22

(Ciąg dalszy).

— Widzę, że coś ważnego ma mi pan powiedzieć.

— Coś bardzo ważnego... — urwał nagle i przesunął ręką po czole. Wiele już lat upłynęło od czasu, jak widzieliśmy się na Franciszkańskiej. Przyniosłem wam tysiąc rubli... dziesięć tęczówek nowiuteńkich.. Za nie mieliście się zająć dzieckiem, które trzymałem na ręku...

— Wszystko to sobie przypominam dobrze, lecz na co rozprawić teraz o tem, co już dawno minęło?!... Powiedz mi pan raczej, jakim sposobem odszukałeś mnie obecnie?

— Nigdy nie straciłem was z oczu. Wiem, żeście kupili budę na kołach i że w niej mieszkacie... że stawiając głupim ludziom kabałę, albo udając jasnowidzącą, która dostrzega rzeczy przeszłe i przepowiada przyszłe, pędzicie marny żywot w biedzie i trosce o jutro.

— W istocie... dobrze pana poinformowano. Tylko zapewnić mogę, że nie udaję, a ino na prawdę odgaduję nieraz, co komu los przeznacza i co się z kim stanie.

— Wiem również, że wybieracie się w drogę... Nie wiem tylko dokąd. Kupiliście konia i wyre-stauowaliście wasz wagon przed podróżą... Pojedziecie razem z jakąś starą, ślepą kobietą i z małą dziewczynką...

— Żeś pan czarny jak sadze, to rzecz niezaprzeczona, lecz żeś dyabeł, który wie o wszystkim, tego nie domyśliłabym się wcale — rzekła Ciupaga, udając zdziwienie i robiąc znak Krzyża świętego na piersi.

— Kto wie? może w rzeczy samej, jestem dyabełem, chociaż mnie ochrzczono przed laty w Paryżu, gdy mnie hrabia Jelski zgodził do swojej służby. Dość, że wiem wszystko, coście robili, co robicie... i co robicie macie.

— Nie, na to się nie zgodzę — odpowiadała Ciupaga, uśmiechając się ironicznie — nie wszystko panu wiadome... i nie wszystko pan wiedzieć może. Zato ja znam wiele rzeczy, całkiem panu nieznanych, chociaż bardzo ciekawych... stokroć ciekawszych od tego, o czem pan tu wspominałeś.

— Rozumiem! Chcecie mówić o dziecku, które waszej opiece powierzyłem. No, gadajcie szczerze, coście z nim zrobili?

— Umarło.

— Kłamiesz! — krzyknął Selim, unosząc się mimowoli.

— Czy nie wymagałeś pan odemnie, żeby raz na zawsze zniknęło z tego świata?

— Tak, ale sądziłem...

— Spełniłam rozkaz i kwita!

— To być nie może!

— Powtarzam, dziecko nie żyje.

— Przysięgnijcie, że tak jest, a nie inaczej! Ciupaga milczała.

— Aha! czy nie miałem racji, mówiąc, że kłamięcie?

— Co to pana obchodzi kłamię-li, czy prawdę powiadam? Dziecko zginęło. Nie znajdziecie go, choćbyście całą ziemię przeszukali. Ręczę wam za to!... Przeszło lat dziesięć, jak pana nie widziałam; przeszło lat dziesięć nie słyszałam o nim nawet. Oddałeś mi mikrusa, a sam drapnąłeś jak złodziej, nie troszcząc się wcale, co się z nim stanie. Skazaliście bękartą na śmierć, równie pan, jak pański chlebobdawa, nieboszczyk hrabia Jelski, który cię z bachorem do mnie przysłał... a teraz, gdy magnat wyciągnął kopyta, pan, jego faworyt, jego prawa ręka w różnych nieładnych sprawkach, przychodzisz się upominać o dziecko, które do ciebie nie należy... Ach! pojmuję wybornie dlaczego interesujesz się mikrusem! Nie taka ja głupia, jak się panu zdaje. Dowiedziałeś się, kto jest jego matką i chcesz jej zwrócić skarb zaprzepaszczoney... no, ma się rozumieć, za grubą zapłatą...

— Żle tłómaczycie sobie moje zamiary...

— Idź pan, idź! Nie w ciemie ja bita!... Czy mnie bierzesz za prostą babę, która nie zna ludzi

i w pole da się wyprowadzić byle jedwabnem słówkiem? Nie z jednego pieca chleb jadłam, a ocierałam się o świat wszelki, o górny i o dolny; poznałam oba dobrze... i wiem ile jest w nich podstęp, przyniewierstwa i błota. Przekonaną jestem, że w tej chwili nie przemyślisz nad czem innym, jak nad wyzyskaniem matki biednego malca, który w istocie obchodzi cię tyle, co mnie Ignacy...

Dygnęła przesadnie, dodając ironicznym i razem stanowczym tonem:

— Sługa pańska, panie Selimie... Widzisz ję-gomość, że wiem, jak się nazywasz... Otóż panie Selimie, nie się waść odemnie nie dowiesz!

Murzynowi zapaliły się w oczach płomienne błyskawice. Rzucił się na kabalarke, jak gdyby chciał ją udusić, lecz ta odepchnęła go silnem ramieniem, aż się zatoczył.

— Spokojnie, mój czarnoludku, spokojnie! Prośbom twoim nie uczynię zadość, a gróżb się nie lękam. Tutaj, nie ośmieliłbyś się mnie zamordować, bo przedewszystkiem nie dałbyś jasności babie rady, chociaż chłop z waszmości nie ułomek, a nadto, bo rozumiesz doskonale, że gdybym narobiła wrzasku, znaleźliby się wnet w pobliżu pająki, którzyby cię na gorącym uczynku przycapili i powiedli do cyrkułu. Nie boję się więc pana dziś... a tem mniej w przyszłości, bo jutro będę daleko... bardzo daleko od Warszawy... pan zaś, gdy się dobrze zastanowisz, przyjdiesz niezawodnie do przekonania, że nie warto czeptać się takiej, jak ja czarownicy, która drwi sobie z podobnych do wasci śmiałków.

— Nie chcesz nic powiedzieć?

— Nie chcę... i nie powiem — odparła ex-akuszerka z chłopskim uporem.

— A jednak wiesz, gdzie obecnie dziecko się znajduje?

— Może wiem... ale to już moja rzecz, nie pańska.

Roześmiała się głośno i nie skinawszy nawet głową Selimowi, pomaszzerowała sporym krokiem pod górę — drogą, wiodącą do Alei.

Niespełna w godzinę krzątała się już po swojej budzie na Solcu, rozniecając ogień w żelaznym piecyku. Cała pogrążona w dumania, nie rozmawiała ani ze ślepą, ani z Sabinką, które cichutko siedziały w kąciu.

„Co to wszystko ma znaczyć? — myślała — Czego odemnie żąda ten zatracony murzyn? Zjawia się po tylu latach... no, i po co?”

Zaczęła rachować na palcach, przypominając sobie różne daty.

Dziesięć lat temu, jak obszył, przyszedł do niej z bębem. Czyim?... Tego nie wie! Może mikrusiátko było dzieckiem jakiej kochanki hrabiego... a może hrabiny samej. Takiej tajemnicy — bez dowodów, albo przynajmniej wymownych jakichś poszlak — odgadnąć niepodobna!... Aż tu nagle, ni z tego, ni z owego, pisze list anonimowy, zaprasza na schadzkę do Łazienek... i bestya mać w głowie. Może byłby zapłacił?... Ba! cóżby mu powiedziała?... Sama nie wie, chociaż z tego, co wiedziała dawniej, łatwoby dojść można, kedy bachor się obraca. Lecz tym razem Selim nie miał banknotów. O, gdyby miał, byłby wyjął... pokazał. Chciał po durnicy czegoś od niej się dowiedzieć, a ją samą wystrychnąć na dudka. Dobrze zrobiła, że mu nic nie powiedziała!

Ciupaga prostuje się, sięgając głową niemal do sufitu, a równocześnie puszcza w ruch nerwowy obie długie ręce.

— Nie miał monety — mruczy pod nosem. — Przysięgałabym, że nie miał!

Cała scena — tak, jak odbyła się niegdyś, przed dziesięciu laty — staje przed jej oczami.

Murzyn podał jej dziecko i rzekł: „Zrobicie, co się wam spodoba, chodzi jednak, żeby jak naj-

śpieszniej nie pozostało po bękartcie ani śladu.“ Zrozumiała od razu, że hrabia przez usta swego kamerdynera skazywał biedne stworzenie na śmierć i że to ona ma je w jak najkrótszym czasie życia pozbawić. Żeby nie uleść pokusie, zabrała zaraz maleństwo i zanosła na plac Dzieciątka-Jezus — lecz nie położyła w kole, przeznaczonem dla pod-rzutek — tylko pod drzewkiem, tuż przy chodniku; sama zaś stanęła na rogu ulicy Święto-Krzyskiej... i patrzy. Po chwili spostrzega, jak jakiś młody człowiek, idący szybko, zatrzymuje się, pochyla nad malcem, okutym w pieluski, podnosi go ostrożnie z ziemi, zawija połą od płaszcza, poczem odchodzi. Ostrożnie, z daleka kroczy za nim. Młodzieniec dzwoni do jednego z domów przy ulicy Szpitalnej... i wnet znika za bramą. Ona dopada do niej i natychmiast zaczyna się dowiadywać o niego u stróża, który nie daje się długo prosić. Opowiada, że to student uniwersytetu, „uczący się na doktora“, że nazywa się Marcin Żarski; że mieszka z matką w malutkich dwóch pokojkach na trzecim piętrze, w podwórzu. Te informacje wystarczyły jej najzupełniej. Nie pytała o nic więcej i z lekkim sercem wróciła na Franciszkańską, nie myśląc już później o dziecku, zwłaszcza, że kapitałik tysiąca rubli — otrzymany od Selima — pozwolił jej rzucić się na jedno z setnych przedsięwzięć, jakie po przybyciu do Warszawy podejmowała nieustannie — zawsze bez powodzenia.

Mogła to wszystko wyspiewać Selimowi... Lecz na co?... Tajemnice tego rodzaju często niemałą korzyść przynoszą... Kto wie? może to właśnie ją wzbogaci!

Uspokojona długiem rozmyśleniem zabiera się do pakowania rzeczy w drogę.

Woła ślepą i Sabinę i rozmawia z niemi wesoło o bliskiej podróży.

Żarska wierzy głęboko, że robi wyśmienity interes. Cieszy się, że opuszcza Warszawę — w której tyle wycierpiała — i równocześnie łądzi się nadzieją odszukania tam... na prowincyi... ukochannej Zosi, bo staruszcze się zdaje, że nie podobna, aby dziewczynka pozostała w mieście.

Selim przekonany głęboko, że Ciupaga wiedzieć musi, co się dzieje obecnie z synkiem hrabiny Jelskiej, oraz, że wydałaby niezawodnie ukrywaną tajemnicę, gdyby otrzymała za to poważną jakąś kwotę pieniężną — wrócił na ulicę Wiejską i udał się naprzód do swego pokoju na drugim piętrze.

Od pewnego czasu czuł i rozumiał, że tak hrabina, jak Kazimierz Molski, pragną raz na zawsze kraj opuścić. Dostyszące kiedy niekiedy przypadek nieostrożnie przez nich wymówione słówko, utrzymywało go w tem mniemaniu. Otóż wyjazd ich rujnował jego plany, postanowił zatem, dziś jeszcze postawić wszystko na ostrzu noża i działać jak najenergiczniej.

Wysunął walizkę skórzaną, ukrytą starannie pod łóżkiem, otworzył ją kluczykiem, wyjętym z kieszonki i wydobyl z pod podwójnego dna walizki — pakiet, starannie owinięty bibułą i obwiązany szpagatem.

— To mnie wzbogaci! — szepnął do siebie, przecinając szczyrykiem szpagat i odsłaniając znany nam biały sznur jedwabny, którym niegdyś zwykła była opasywać się Marcelina.

Poczem schował go w zanadrze i zeszedł na parter, do apartamentów, zajmowanych przez swoją panią.

W jadalnym pokoju spotyka pokojówkę hrabiny.

— Czy pani u siebie? — zapytał.

— Tylko co wróciła z miasta. Słyszałam głosy w jej buduarze; pewno rozmawia z lubym. O! nasza pani łatwo i szybko pocieszyła się, w swoim wdowieństwie.